

waliśmy przy Kaplicy, potem schodziliśmy w dół, podziwialiśmy arkady, katakumby, no a później był moment najważniejszy: lwy i kolumnada. Dotykaliśmy tych kolumn przebiegając między nimi... I było to najważniejsze, najpiękniejsze koloseum w naszym życiu. Zdaje się, że znaleźliśmy każdy szczegół, każde wyżłobienie, każdy rys podstawy dwu jakże swojskich i prawie mistycznych lwów... Moi koledzy - nie Polacy, podobnie jak ja zachwyceni niezwykłością, jakimś absolutnym pięknem tego miejsca. A oni to nam odebrali. A oni nam to zniszczyli.

Wtedy, kiedy spotkałam swego kolegę, który mi opowiedział o zniszczeniu cmentarza. On, jak zresztą my wszyscy, był już świadom naszej historii tego że zapewne mogliśmy być po różnych stronach barykady. A on Ukrainiec absolutnie nie chciał przyjąć w swojej świadomości tego ataku na śpiące, bezbronne Orłęta. Po co im to było? Tym "zwycięzcom", z kim oni walczyli?!...

Czas mijał, ale jakoś nie uleczył tego ciosu. Będąc już polskim dziennikarzem w Wilnie, niepokoiły mnie wtedy już nie jedna ale dwie podstępnie zadane przez sowietów rany - nasze Orłęta i Wileńska Rossa, z sercem Marszałka, przez którą władze sowieckiej Litwy chciały przeprowadzić autostradę.

Walczyliśmy lecz nie była to walka o zwycięstwo. Broniliśmy przed rosyjską, sowiecką hordą naszego prawa chrześcijan. Walczyliśmy o to, by nikt nie zbeszczył więcej poświęconej ziemi, nie naruszył spokoju naszych zmarłych. Taka jest nasza religia, nasze obyczaje. Jesteśmy tu u siebie. Tu rodzili się i umierali nasi przodkowie, tu grzebiemy swoich zmarłych. I żaden najeźdźca nie będzie nam narzucał swoich barbarzyńskich obyczajów.

\*\*\*

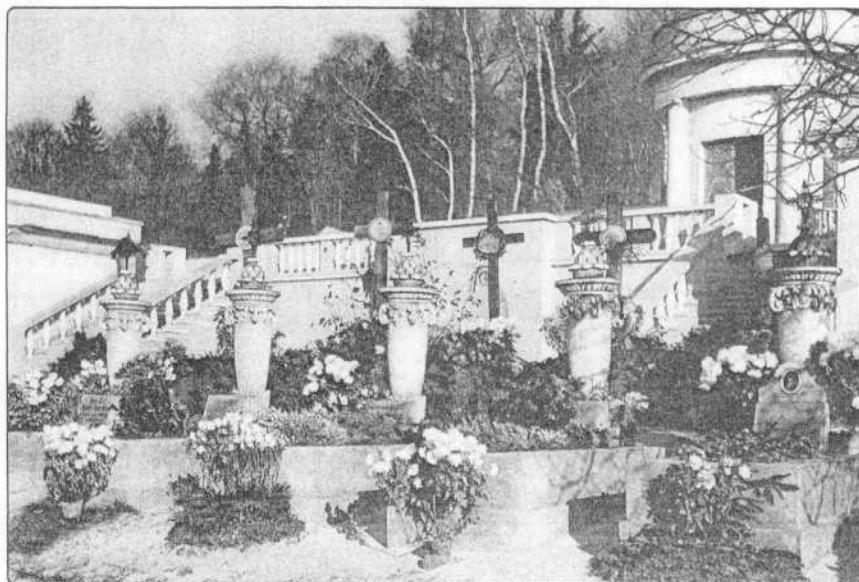
Te moje powroty do Lwowa zaowocowały poznanem wielu wspaniałych ludzi. Przede wszystkim dyrektora lwowskiego oddziału "Energopolu" dziś już niestety nieżyjącego Józefa Bobrowskiego, który wraz z grupą lwowian zainicjował odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa. To o Nim jak też o naszych lwowianach, którzy się nie ugięli, którzy, choć prześladowani trwali przy naszych Orłętach, naszych lwowskich dzieciach, o nich chciałam przede wszystkim usłyszeć podczas uroczystości 24 czerwca br. Ci ludzie zrzeszeni w Polskim Towarzystwie Opieki nad Grobami Wojskowymi zawsze będą dla mnie przy-

kładem, wzorem polskości. Niektórzy już dziś stali się legendą Lwowa - Państwo Cydzikowie, inicjatorzy prac na Cmentarzu, Pan Jan Franczuk obecny prezes Towarzystwa, Pani Kazimiera Karkut i wielu innych nie tylko z Cmentarza Obrońców Lwowa ale i z innych cmentarzy czy miejsc pochówku na Ziemi Lwowskiej, na których spoczywają żołnierze polscy, którzy oddali życie za wolność tych stron, za spokojne życie wielu przyszłych pokoleń, nie tylko Polaków - po prostu ludzi tu mieszkających. Zaiste "umarli abyśmy wolni byli"...

Przyjeżdżając do Lwowa i czyniąc pierwsze kroki w reaktywowaniu "Gazety Lwowskiej" poznałam wielu takich ludzi którzy trwali przy naszych Orłętach. Stanisław Sławomir Nicieja, Jerzy Janicki, Jan Wojciech Winglek, Marian Baranowski, Andrzej Przewoźnik. Uporczywie i długo szli do celu. Uczynili wszystko co możliwe i niemożliwe by przywrócić godność Obrońcom Lwowa. Chylę przed nimi czoła. Składam wyrazy wdzięczności w imieniu własnym i innych lwowian, nie tylko Polaków dla których to miejsce stało się znów polskim przykładem oddania hołdu i czci tym którzy zginęli broniąc Miasta. I oby już na zawsze pozostali tu w pokoju.

Bożena Rafalska

## PIĘKNO W FOTOGRAFII LAT TRZYDZIESTYCH



# 11 LISTOPADA - WE LWOWIE

(dokończenie ze str. 25)

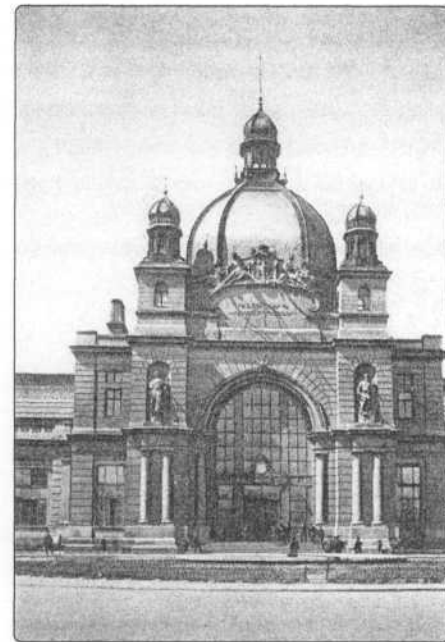
listopada o 9 rano akademicy warszawscy będą mogli wrócić do Warszawy.

23 listopada wszyscy zdrowi i cali warszawiacy (część była ranna, część chorowała) wyjechali przez Przemysł do Krakowa, a stamtąd do Warszawy. Koleżanki lwowskie zrobiły nam opaski z napisem „Lwów”, które umieściliśmy sobie na lewym rękawie płaszczów wojskowych. Dzięki tym opaskom na całej drodze do Warszawy byliśmy obiektem powszechnego zainteresowania. Pytano nas o szczegóły obrony Lwowa, o przebieg walk, a co chwila łechtały nas mile przymiotnik „bohaterski” wiązany z tą obroną. Gdyśmy stanęli w Warszawie, czuliśmy się w roli podziwianych gwiazdorzów. Odczuwaliśmy swoją wyższość w stosunku do reszty kolegów, którzy jeszcze nie zdążyli powąchać prochu. Pytaniom o Lwów nie było końca. Lecz i myśmy pytali bez końca. Zwłaszcza 11 listopada. Bo choć rośliśmy z dumy, że dane nam było przeżyć epopeję zwycięskich walk

o Lwów, jednego uparcie nie mogliśmy darować losowi, że 11 listopada nie było nas w Warszawie.

Była wreszcie wolna. Stawiała swe pierwsze kroki w roli stolicy narodu, jednoczącego się teraz po przeszło wieku rozdarcia. Nie czuło się zimy. Wiosna była w duszach. Każdy dzień przynosił wiadomość radosną. Bo nad trudnościami przechodzono do porządku dziennego. Wierzono święcie, że będą pokonane bez reszty. Trudno jest oddać radośny nastrój listopadowych dni Warszawy 1918 roku. Od 11 listopada była oszołomiona wypadkami. Radośnie podniecona. Była dumna, że w swych murach gości „więźnia Magdeburga”, którego autorytetowi poddali się bez warunków, namów czy agitacji wszyscy: Rada Regencyjna, przedstawiciele stronnictw, starzy, młodzi, różne oddziały wojska polskiego, ba, nawet niemieckie Rady Żołnierskie. Instynktowne skupienie się wszystkich wokół Piłsudskiego było najbardziej imponującym zjawiskiem tych niezapomnianych listopadowych dni.

Tadeusz Katelbach



Dworzec kolejowy we Lwowie. Zdjęcie z lat trzydziestych